

Teksty Drugie 1996, 1 , s. 108-114



Jak żyć w „świecie teoretycznym”?

Edward Balcerzan

podaną bibliograficznym sposobem, idąc dalej — bazę bibliograficzną dla badań interpretacyjnych i do bardziej szczegółowych opracowań. Pozostaje na koniec wyrazić wielkie ubolewanie, że wydawcy, tj. Biblioteka Narodowej, nie starczyło wyobraźni (bo nie śmiem przypuszczać, że — właściwej oceny dzieła) i książkę tę, najbardziej użyteczną i użytkową, wydała w miękkiej, broszurowej oprawie, skazując ją na zacytowanie — jak przewiduję — w bardzo szybkim czasie.

styczeń 1995

Beata Dorosz

Jak żyć w „świecie teoretycznym”?

W ogłoszonym w 1992 r. artykule *O kłopotach badacza literatury rosyjskiej XX wieku uwag kilka* Bogusław Żyłko zwracał uwagę na szczególny owych kłopotów charakter — wieloletnią radziecką (ideologiczną, polityczną, także policyjną) blokadę najzupełniej podstawowych informacji, nieodzownych dla nauki. Był to jeden z wielu wówczas głosów w kwestii „białych plam”; jednocześnie we wspomnianym artykule uwyrażniał się pewien rys charakterystyczny naukowego temperamentu Żyłki, a mianowicie skłonność do postrzegania historii kultury jako dyscypliny bezustannie maskującej swoje prawdziwe oblicze, pełnej napięć i antagonizmów, przeoczeń i jawnych kłamstw. To samo określa charakter (styl, aurę) najnowszej książki Bogusława Żyłki (poświęconej dziełom Michaiła Bachtina¹); obserwujemy tu ten sam dramat nieufności, tropienie konfliktów, nastawienie na różnice raczej niż na podobieństwa analizowanych zjawisk.

Żyłko opowiada się za perspektywą ergocentryczną (s. 33). Nie chce porządkowania, które miałyby się ograniczyć do „szufladkowania” (s. 17). Sprowadzając myśl autora *Poetyki Dostojewskiego* do świadomości kolektywnej (formalistycznej, marksistowskiej, strukturalistycznej czy hermeneutycznej), roztapiając wielką indywidualność w bezimienności, niszczy — twierdzi badacz — najcenniejszą wartość humanistyki: osobowość.

Tak jak Bachtin chciał widzieć „Dostojewskiego w Dostojewskim”, tak Żyłko poszukuje „Bachtina w Bachtinie”. Oto powody, dla których materiałem faworyzowanym staje się w rozprawie Żyłki walka

1 B. Żyłko *Michaił Bachtin. W kręgu filozofii języka i literatury*, Gdańsk: 1994.

postaw: spór Bachtina z lingwistyką Ferdynanda de Saussure'a, ze szkołą Vosslera, z rosyjską szkołą formalną, z psychologizmem, z freudyzmem (a także, dodajmy, ukryty w Bachtinowej wizji dialogu międzyludzkiego jako istoty kultury — spór z marksistowsko-leninowską teorią nadbudowy jako instrumentu w walce klas).

Nawiązując do świadectw recepcji Bachtina Żyłko znajduje raz po raz bliskie sobie sądy czy sugestie (np. we wspomnieniach Boczarowa, s. 226, przypis 3). A przecież największą satysfakcję sprawiają mu poglądy poprzedników, które można podważyć; tezy, które pobudzają do sporu (polemizuje z Todorovem, Kristevą, W. Iwanowem, Wierzbicką, Gasparowem). Polemika to dla Żyłki retoryka poznania; więcej — metoda poznania.

W całej rozprawie toczy się wewnętrzny dialog (Żyłki z Żyłką) na temat: jak nazwać najtrafniej przedmiot badań i co ma być owych badań ostatecznym rezultatem. Powiedzieć, że chodzi o „dzieło Bachtina”, to za mało, zwłaszcza iż nie zostały do końca wyjaśnione kwestie autorstwa oraz współautorstwa prac sygnowanych nazwiskami Wołoszynowa i Miedwiediewa (s. 12–15). Przedmiot badań bywa tu określany rozmaicie: jako „motywy przewodnie” (s. 37), „poglądy Bachtina” (s. 104), „koncepcja Bachtina” (s. 171), Bachtinowy „projekt humanistyki” (s. 187), który, co Żyłko podkreśla, nie jest zamkniętym systemem, gdyż „wypowiedzi Bachtina nie są jednoznaczne (...) i są otwarte na różne interpretacje” (s. 56).

Autor unika konsekwentnie słowa „system”, chyba że ma na myśli „system” problematyczny, ujęty w cudzysłów (s. 161). Raczej już: „labirynt pojęciowy” (s. 163); albo — „niezbyt przejrzysty układ relacji” (s. 171). To zróżnicowanie określeń, odnoszących się do przedmiotu rekonstrukcji, nie jest ani strategią uników, ani też próbą urozmaicenia stylu, lecz wyrazem postawy metodologicznej badacza. Obraz Bachtina w pracy Żyłki „chce być” obrazem dynamicznym (jak życie), a zarazem określonym poprzez najważniejsze dążenia i cele (jak kultura); ów obraz zostaje upodobniony do „czynu”, tak jak kategorię tę rozumiał Bachtin (s. 41–62). „Antynomię kultury i życia można przezwyciężyć jedynie na gruncie czynu — tak dałoby się w skrócie określić najważniejsze przeświadczenie Bachtina” — pisze Żyłko (s. 67) i identycznie, dodajmy, można określić podstawowy cel wysiłku autora zajmującej nas pracy.

Żyłko proponuje spojrzenie na Bachtina jako na filozofa i filologa (słusznie polemizując z tymi egzegetami, dla których filologia Bach-

tina, a więc wiedza o języku i literaturze, miałyby być zaledwie pretekstem do wypowiedzi filozoficznych). Nie, powiada Żyłko, w dziele Bachtina „wątek filozoficzny i filologiczny nie istnieją (...) oddzielnie”, między obiema orientacjami panuje równowaga, a nawet więcej — „symbioza filologii i filozofii” (s. 27). W rzeczy samej: filozofia i filologia to pojęcia tak bardzo ogólne, że — nie mogą stać się zdradliwymi „szufladkami”... Pozwalają natomiast zadawać dziełu Bachtina pytania uniwersalne, ułatwiają ucieczkę przed interpretacjami stronnictwymi. Najważniejszym — i najbardziej spektakularnym — uzasadnieniem tej symbiozy jest Bachtinowa koncepcja człowieka jako „istoty wytwarzającej teksty” (s. 28, to samo na s. 70). W tej znakomitej formule znajduje Żyłko możliwość zarysowania dwu perspektyw:

— od filozofii czynu do filozofii języka,
— od filozofii czynu (poprzez filozofię języka) do filozofii literatury.

Badacz chce odizolować Bachtina od formalizmu i strukturalizmu: niekiedy w tych usiłowaniach przesadza; w nastawieniu na różnice zacierają się (ewidentne) podobieństwa. Odwołania do deklaracji Bachtina nie wydają się argumentami nie do podważenia. Między deklaracjami uczonego a immanentną treścią jego dzieł zachodzi niekiedy taka sama różnica, jak — wedle Bachtina — między pozorną nieraz walką kierunków literackich, a rzeczywistą, głęboką koegzystencją gatunków (s. 180–181). Niezależnie od tego, jak malowniczo odcinali się od formalistów Bachtin czy Ingarden (odwołania do Ingardena są w pracy Żyłki bardzo przenikliwe!), nie da się zaprzeczyć, że i formaliści, i Bachtin, i Ingarden opowiadali się za antypsychologizmem i antybiografizmem. To były ich „miejsca wspólne”.

Bachtin a formalizm. Antybiografizm Bachtina Żyłko pozostawia bez komentarza, choć problem ten wymaga wyjaśnienia. Jak — na gruncie zdrowego rozsądku — pogodzić antybiografizm z antropocentryzmem (s. 153)? To podstawowy dylemat „bachtinologii”. Wedle Bachtina literackość ma uobecniać się „w szczególnym widzeniu człowieka przez innego człowieka, bohatera przez autora” (s. 160). A zarazem ów „człowiek” to nie żywy człowiek, lecz forma („twórca manifestuje się poprzez formę”, s. 159). Forma lub słowo. Wszak słowo autora o bohaterze to słowo o słowie. Mamy prawo zapytać, czy żarliwy humanizm Bachtina nie jest — wbrew jego oświadczeniom — pogodzony z formalizmem? Bachtin upomina się o człowieka

w dziele literackim — uporczywie personifikując tekst (formę, słowo). Różni się od formalistów nie dlatego, że inaczej widzi człowieka, lecz dlatego, że inaczej rozumie i przeżywa formę. A od formy „uciec” nie potrafi; nie chce.

Nie różni się Bachtin od formalistów (oraz Ingardena) także w eksponowaniu teleologicznej (intencjonalnej) perspektywy dzieła. Wszak cytowane przez Żyłkę twierdzenie Bachtina, iż „formy kompozycyjne powinny się oceniać z punktu widzenia ich celowości” (s. 173), jest powtórzeniem niemal słowo w słowo formalistycznej definicji „chwytu”!

Bachtin a strukturalizm. Żyłko wiernie referuje etapy polemiki Bachtina z „teoretyzmem” de Saussure'a. Bachtin pisał, że w „świecie teoretycznym” — „nie można żyć” (s. 40), bo „teoretyzm” jest czymś „strasznym”, stanowi symptom kryzysu humanistyki (s. 41), a nawet staje się w niej „siłą destrukcyjną” (s. 43). Badacz powinien poglądy te — czy emocje — poddać krytycznej rewizji. Trzeba zapytać: jak pogodzić etykę Bachtina, w której przyznaje się Innemu pełną suwerenność, z ostentacyjną nietolerancją wobec tych Innych, którzy znajdują właśnie przyjemność w tworzeniu „światów teoretycznych” (gdy nie są to światy „brunatnego i czerwonego totalitaryzmu”, s. 184, lecz specjalizacje wiedzy naukowej)? Istotą etyki Bachtina jest, powiada Żyłko, przekonanie, że w relacjach międzyludzkich panuje „zasadniczo pozytywny charakter” (s. 221). Otóż, jeżeli tak jest w istocie, jeżeli wartością w życiu i w kulturze ma być czyn autentyczny (jak u Kierkegaarda), a dla niektórych ludzi czynem okazuje się myślenie teoretyczne, które Bachtin bezapelacyjnie potępia, to znaczy, że między ideałami Bachtina a jego postępowaniem polemicznym rysuje się sprzeczność — typowa dla etyk utopijnych.

Rzecz w tym, iż Bachtin udaje, że odrzuca teorię języka de Saussure'a (koncepcję *langue*). W istocie, jak pokazuje sam Żyłko, ta teoria jest Bachtinowi potrzebna dla przeciwstawienia lingwistyce — „metalingwistyki”. Bez Saussure'owskiej lingwistyki nie byłoby Bachtinowej metalingwistyki. Żyłko zbliża się w swojej pracy do takiej konkluzji. Powiada nagle (nie komentując zmiany perspektywy), iż wedle Bachtina — jednak! — „wiedza teoretyczna jest prawomocna i usprawiedliwiona”, co prawda jako coś gorszego niż inkarnacja, jako „służebny moment” (s. 55). Jest potrzebna — tak jak „prawdzie” potrzebna jest *istina* (s. 56). Lecz skoro tak, czy nadal wolno ją lokować w świecie, w którym „nie można żyć”? Tej sprzeczności Żyłko

nie wyjaśnia, nie stawia kropki nad „i” (musiałyby bowiem zakwestionować oskarżenia „teoretyzmu” o „straszna” moc „destrukcyjna”). Żyłko zdecydowanie przeciwstawia się tym, którzy dostrzegają więź między Bachtinem a orientacją strukturalno-semiotyczną. A przecież niektóre idee Bachtina, przedstawiane jako jego innowacje, należą do kluczowej tradycji semiotyki. Gdański slawista wielokrotnie np. podkreśla, iż istotą metalingwistyki Bachtina jest spojrzenie na „tekst (wypowiedź) w aspekcie jego autorstwa, adresata, intencji, relacji do innych tekstów” (s. 29, to samo na s. 130, 150). Otóż takie „spojrzenie na tekst” — precyzyjnie uporządkowane! — znają niemal na pamięć czytelnicy klasycznej w historii semiotyki pracy Morrisa (semantyczny, pragmatyczny oraz syntaktyczny wymiar znaku). Żyłko przytacza sąd Bachtina, iż każda wypowiedź kończy się przekazaniem „głosu innemu, jak gdyby poprzez milczące *dixi*, które jest odbierane przez słuchaczy (czy znak), że mówiący skończył” (s. 83). Z podobną koncepcją w Polsce wystąpił w latach sześćdziesiątych Edward Csato: jego teoria „funkcji sygnalizacyjnej” odnosi się do mowy scenicznej (koniec kwestii wypowiedzianej przez jednego aktora jest dla drugiego aktora sygnałem, iż teraz to on powinien wypowiedzieć swoją kwestię; jak w znanej anegdocie *tiepier ja*). Zauważmy, szkic Csato (podobnie jak szkic Janusza Sławińskiego o funkcjach krytyki literackiej) był jedną z prób adaptacji schematu Romana Jakobsona do szczególnych postaci komunikacji międzyludzkiej. Tak oto z jawnie strukturalistycznego („lingwistycznego”, semiotycznego) impulsu rodziły się koncepcje bliskie ideom Bachtina. Kolejny dowód na to, iż oprócz różnic trzeba widzieć także podobieństwa między ideami Bachtina i ideami szkół semiotyczno-strukturalnych.

Druga moja wątpliwość dotyczy — niekorzystnej dla problemów literackich — dysproporcji między rekonstrukcją filozofii języka a (nazbyt skromnym) rozdziałem dotyczącym literatury. Pierwsze zdanie rozdziału trzeciego („Większość twierdzeń, jakie Bachtin sformułował na temat wypowiedzi, zachowuje swoją ważność również w stosunku do dzieła literackiego, s. 150) jest na pewno prawdziwe, ale — powoduje zawężenie pola obserwacji. Poszukując ciągu analogii między Bachtinową filozofią życia a filozofią słowa, Żyłko pominął kilka ważnych zagadnień, które ukazują wielkość Bachtina jako historyka literatury (twórcy nośnych koncepcji, związanych z procesem historycznoliterackim). Mam na myśli jego ideę rozwoju sztuki narracyjnej w dwóch porządkach: retoryczno-epopeicznym, który prowadzi

do powieści homofonicznej, oraz karnawałowym, który z kolei, w postaci „zredukowanej”, wyraża się w powieści polifonicznej. Dlaczego Żyłko nie komentuje, ba: nie zauważa tego podziału? W przypisie 26 na stronie 206 czytamy, iż teoria dialogiczności cudzego słowa odnosi się do „całego tekstu powieściowego”. Ta konstatacja jest myląca — do „całego”, ale nie do każdego — nastawienie na cudze słowo odnosi się jedynie do skarnawalizowanej, polifonicznej odmiany gatunku powieściowego.

Nie jest tak, iżby badacz Bachtina celowo upraszczał jego idee. Żyłko ma świadomość komplikacji — wynikających zarówno z metodologicznego „poliglotyzmu” Bachtina (s. 17), jak i z upodobań rosyjskiego myśliciela do wyrażen metaforycznych. Powiada, iż „język Bachtina charakteryzuje się silnym piętnem osobniczym”, jest „bogaty, giętki, obfitujący w trudne (czasami wręcz nieprzetłumaczalne) zestawienia słowne, śmiałe metafory i porównania” (s. 33).

O języku Żyłki tego powiedzieć nie można.

Owszem, chętnie cytuje Bachtina, z niektórych zdań — umieszczanych w odpowiednim kontekście — wydobywa energię aforyzmu (np. „Żyję w świecie cudzych słów”, s. 124; „Sensem dla mnie jest odpowiedź na pytanie. To, co nie odpowiada na żadne pytanie, jest pozbawione dla mnie sensu”, s. 99. „Nie ma niczego absolutnie martwego: każdy sens będzie miał swoje święto zmartwychwstania”, s. 184). Żyłko nie tworzy własnych metafor (co wydaje się słuszne — metafory o metaforach zrodziłyby... poemat dekonstrukcjonistyczny). Nieraz korzysta z obiegowej frazeologii, posługuje się takimi wyrażeniami, jak np. przechodzić „czerwoną nicią” (s. 36), być „kamieniem węgielnym” lub „Archimedesowym punktem oparcia” (s. 44), skupiać się „jak w soczewce” (s. 44–45). Nierzadko właśnie Rosjanie tak piszą (bez skrępowania) i komuś odczytanemu w ich tekstach może się to wydawać przezroczystą normą. Nie warto w tym akurat względnie naśladować Rosjan. Banalna frazeologia staje się formą (niechcianych przez Żyłkę) „szufladek”-schematów.

Próba zdyscyplinowania „poliglotyzmu” Bachtina udaje się Żyłce w poglądowych diagramach (s. 95–96, 133, 137, 164, 172); pewien ład bywa tu osiągany poprzez enumerację (s. 194), utrwalany dzięki powtórzeniom (s. 54 i 66, s. 135 i 185) lub za pomocą przeciwstawień w rodzaju: „znaczenie i sens”, „słowo i ocena”, „gatunki prymarne i wtórne”.

Lojalność wobec genialnego Rosjanina, urzeczenie jego stylem, a za-

pewne także niechęć do statycznej „matematyzacji” języka, powodują, że raz po raz wykład Żyłki traci jednoznaczność. Dzieje się tak wtedy, gdy pojawiają się refleksje metajęzykowe — odnoszące się do terminów, które sprawiają kłopoty tłumaczom (nie tylko Żyłce), takich jak *priednachodimost'* („preegzystencja”? s. 161), *zawierszenije* (Żyłko przytacza aż dziewięć prób spolszczenia tego terminu: s. 157; najbardziej udanym odpowiednikiem jest, moim zdaniem, „zwieńczenie”), nieraz — a trudno to nazwać sukcesem! — rosyjskie terminy zastępuje zapożyczeniami z języków obcych („egzotopia” i *Einführung* s. 191) lub przyznaje się, że co prawda zna semantyczne odpowiedniki terminów Bachtina, ale nie potrafi po polsku zaproponować podobnie dowcipnej i sugestywnej gry słów (jak np. *dannoje* i *sozdannoje*, s. 110). Refleksje dotyczące kłopotów terminologicznych nie są tu jedynie dygresjami. Mają pewien docelowy sens. Po pierwsze, każą czytelnikowi obcować nie tylko z poglądami, ale i z osobliwościami pisarstwa Bachtina. Po drugie, refleksje te przygotowują — i uwiarygodniają — epilog, w którym nie zaskakuje postulat „drobiazgowej i wszechstronnej analizy słownika filozoficzno-naukowego rosyjskiego humanisty” (s. 197).

Książka Bogusława Żyłki nie jest monografią, lecz rekonstrukcją pewnego nurtu w dorobku Bachtina. Jeżeli Żyłko w przyszłości zabierze się do monografii (cokolwiek słowo to dziś mogłoby oznaczać), będzie ona (miejmy nadzieję) mniej wyznawcza, napisana z większym dystansem wobec wielkiego Rosjanina, bardziej panoramiczna i wieloaspektowa.

Edward Balcerzan